



Jak wymyślono 11 listopada

O pierwszej wojnie światowej, feministkach i początku niepodległości
opowiada Maciej Górny, autor wydanej właśnie
książki „Polska bez cudów. Historia dla dorosłych”.

„Alegoria zwycięstwa w 1920 roku”, obraz
Zdzisława Jasińskiego namalowany w 1920 r.

MARCIN ZAREMBA: – **Podtytuł książki, „Historia dla dorosłych”, sugeruje treści niecenzuralne.**

MACIEJ GÓRNY: – Jedyne akty seksualne, które mógłbym mieć na myśli, to miłość własna takich postaci jak Dmowski czy Piłsudski. A mówiąc serio, nie pociąga mnie historia z morałem, spełniająca narodowe oczekiwania, wyłączająca myślenie.

Pierwsze zaskoczenie podczas lektury: Polska miała się odrodzić jako królestwo, ba, nawet kilka królestw z odrębnymi władcami. Jeszcze w 1917 r. taką wizję powojennej Europy zakreślił Ignacy Paderewski. Dlaczego te pomysły porzucono na rzecz systemu parlamentarnego?

Za sprawą Woodrowa Wilsona, a także Włodzimierza Lenina zmieniła się międzynarodowa koniunktura. 8 stycznia 1918 r. ówczesny prezydent USA w orędziu do Kongresu przedstawił swoje słynne 14 punktów. Nas zawsze interesował trzynasty z nich, który mówił o odbudowie państwa polskiego. Jednak z perspektywy ustrojowej ważniejsza jest poprzedzająca je preambuła, w której amerykański prezydent wskazał na demokrację liberalną jako cel zakończenia wojny. W ten sposób spowodował, że dotychczasowe wizje powojennej Europy stały się *passé*. Wpłynął na zmianę języka polityki, który pochwycili wszyscy, także politycy w Litwie, Estonii czy Polsce. Z dnia na dzień stało się oczywiste, że ich powojenne państwa będą demokratyczne, mimo iż w tej części Europy hegemonem ciągle pozostawały monarchiczne Niemcy. Wilson, jak wiele lat później Fukuyama, powiedział, że nie ma przyszłości bez liberalnej demokracji.

A co z Leninem? Jego pomniki powinny wrócić na dawne miejsca?

Nie. Ale warto pamiętać, że to on sformułował ideę samostanowienia narodów, czyli wykluczył powrót koronowanych głów. Z praktycznego punktu widzenia nie miało to większego znaczenia, linia frontu ciągnęła się od Rostowa nad Donem do Estonii. Niemniej słuchano go w całej Europie. Rewolucja w Rosji przykuwała uwagę, kształtowała wyobrażenia, miała społeczną koniunkturę. Leninowskie hasło pokoju padło na podatny grunt powszechnego zmęczenia wojną. Wszyscy mieli jej dość. Na swoich demonstracjach wznosili je robotnicy w Pileźnie czy w Warszawie. I nasza dzisiejsza antypatia do wodza rewolucji nic tu nie zmienia.

W Europie Środkowej nastąpił zwrot w stronę demokracji także dlatego, że monarchie – Niemcy, Austro-Węgry oraz Rosja – nie poradziły sobie z organizacją pomocy społecznej dla swoich obywateli. Dla rannych, uchodźców, chorych. Okazały się niewydolne i bezradne. To zmuszało ludzi do poszukiwania alternatywnych rozwiązań. Nieefektywna biurokracja drogą do zwycięstwa demokracji?

W czasie wojny tradycyjne monarchie stanęły przed wieloma wyzwaniami. Okazały się doskonałymi machinami wojennymi, nawet Rosja długo finansowo pozostawała samowystarczalna. Jednak ogrom problemów zmuszał je do delegowania części zadań organizacjom społecznym. Inna sprawa, że zwłaszcza rosyjskie państwo nie ufało swoim urzędnikom. Bało się korupcji, dlatego przekierowywało środki, za pośrednictwem głównie komitetu księżnej Tatiany, córki cara Mikołaja II, do różnego rodzaju – jak byśmy dziś powiedzieli – NGO-sów: komitetów narodowych, garkuchni, nierzadko prowadzonych przez panie z towarzystwa. Proces ten miał kapitalne znaczenie polityczne, bo wyostrzał podziały etniczne, ponieważ zwykle pomagano „swoim”. Na przykład organizacje polskie z reguły nie dokarmiały Żydów.

Nacjonalizm skłaniał do dbania o swoich, definiując grupę, jednocześnie wykluczał z niej obcych. Polacy nie należeli do wyjątków.

Robili tak wszyscy. Druga kwestia: w Rosji i Austro-Węgrzech zaczęły powstawać struktury poziome, przejmujące

funkcje często zawieszonych administracji cywilnej. Powstawanie niepodległych państw w 1918 r. zostało poprzedzone pracą u podstaw. Widać to zwłaszcza na terenie zaboru rosyjskiego, w którym od powstania styczniowego nie funkcjonował polski samorząd.

Z kolei politycy prężyli do dyktatury zawsze zaczynając od zniszczenia struktur niezależnych, samorządowych.

Wojenne NGO-sy stworzyły polityczne podglebie, bez którego nie odbudowałyby się polska niepodległość. Nie jest więc przypadkiem, że jak ktoś bierze naród za twarz, to uderza właśnie w samorządy.

Bieda, głód, przesiedleńcy, tyfus – wszystkie te problemy, z którymi borykali się ludzie w Europie Środkowo-Wschodniej w czasie pierwszej wojny światowej, musiały zmuszać do ograniczania więzi społecznych. Koncentracji na rodzinie. Socjologowie nazywają to „amoralnym familizmem”.

Ten model można częściowo wykorzystać do opisu wsi w czasie pierwszej wojny. Natomiast sytuację w miastach, w których rzecz jasna mieszkała niewielka część ówczesnej populacji, definiował głód. Nie można było skryć się w domowych pieleszach przed życiem społecznym. Żadna epidemia, jak dostrzeżony tyfus czy jak zignorowana hiszpanka, żaden strach nie są w stanie przytrzymać ludzi w wąskim kręgu, gdy nie mają co jeść. Głód zmuszał do wyjścia z domu, ustawienia się w kolejce do kuchni wyznaczonej dla różnych warstw (oddzielne mieli robotnicy czy urzędnicy). Sytuacja aprowizacyjna była tak dramatyczna, że zmuszała do działań wspólnotowych. Sprzyjała także masowym wystąpieniom: strajkom i demonstracjom. Ponadto znacznie więcej czasu niż przed wojną spędzało się w zakładzie pracy, tym samym rosło przywiązanie do niego i pracujących w nim ludzi. Z kolei niektóre społeczności wiejskie, zwłaszcza w Białorusi i Ukrainie, zagrożone przez watahy plądrujących żołnierzy, tworzyły coś w rodzaju niepodległych republik, by bronić swoich zasobów.

Wróćmy do nacjonalizmu.

Na Górnym Śląsku podziały klasowe długo go tłumiły. Natomiast w Austro-Węgrzech, państwie przed wojną nękanym nacjonalizmami, dotychczasowe mechanizmy polityczne rozregulowały się. Przed wojną obywatele monarchii habsburskiej – Polacy, Czesi, Węgrzy, Niemcy – mogli się nienawidzić, ale wykonywali swoje obowiązki, ponieważ nacjonalistą było się po godzinach pracy. Wojna wyłączyła ten system kanalizowania nacjonalizmów. Organizacje społeczne i narodowe komitety nie kierowały się logiką monarchii, nie zależało im na jej stabilności, swoją siłę czerpały z konfliktów. Stały się przestrzenią działań polityków, dla których dotychczasowe forum – parlament w Wiedniu oraz sejmy krajowe – zostało zawieszone. Paradoksalnie w sytuacji ograniczonych zasobów i surowego reżimu wojny rozpoczął się wyścig grup etnicznych o to, kto jest najbardziej lojalnym poddanym. Najprostszą drogą była denuncjacja sąsiadów innej narodowości. Żandarmerię, policję zalała więc fala donosów, np. Czechów na Niemców i vice versa. Monarchię drażniła wojna na słowa między zamieszkującymi ją mniejszościami, co świetnie widać na przykładzie relacji polsko-ukraińskich. W 1918 r. zaczęło się obopólne mordowanie.

Ale może na tym polegała droga do własnego państwa? Zdaniem brytyjskiego antropologa społecznego Ernesta Gellnera to nacjonalizm stworzył narody, okazał się lekarstwem na bóle porodowe nowoczesności.

Ja też tak uważam. Nacjonalizm prowadził do modernizacji społeczeństw. Stawiał przed nimi nowe wyzwania: narodowa administracja, armia, szkolnictwo, kultura, nauka. Był paliwem tego ogromnego wysiłku stworzenia społeczeństwa obywatelskiego. A w swojej skrajnej – bliskiej szowinizmowi ►

► – odmianie stał się nienawistny. Z niektórymi sprzecznymi trzeba się po prostu pogodzić.

W książce czytamy o „fundacyjnej roli przemocy”.

Polska niepodległa rodziła się w walce o granice.

Ale to przecież wiedzieliśmy.

Przemoc była spadkiem po Wielkiej Wojnie. Pozostała podstawowym narzędziem rozwiązywania konfliktów długo po jej zakończeniu. Ponieważ broń była łatwo dostępna, we wszystkich konfliktach, np. polsko-bolszewickim, występował trzeci aktor: uzbrojeni chłopci, którzy stawali raz po jednej, raz po drugiej stronie. Szczególnie częstymi ofiarami przemocy byli Żydzi. O pogromach wiemy relatywnie dużo, m.in. w Kielcach w 1918 r. czy we Lwowie w 1919 r. Ale agresji doświadczali również w codziennych sytuacjach. Raporty z lat 1918–20 pełne są doniesień o ekscesach i minipogromach w miejscowościach, przez które przechodziła linia kolejowa. Sprawcami byli jadący na front bądź z niego wracający polscy żołnierze. Fundacyjną rolę przemocy obserwujemy również w życiu politycznym II RP. Bicie Żydów na dopiero co otwartym przez Niemców Uniwersytecie Warszawskim było kontynuowane jeszcze w późnych latach 30. Każda partia polityczna w Polsce miała swoje bojówki. Wzrost przestępczości to również dziedzictwo wojny.

Czy doświadczenie walki w jednym okopie ludzi różnych narodowości nie powodowało, że stawali się towarzyszami broni? Wzmacniało solidarność, zmniejszało dystanse międzyetniczne?

Ten mechanizm działa do czasu. Solidarność *brothers in arms* np. w monarchii austro-węgierskiej weryfikował zbyt długi pobyt w okopie bądź znalezienie się w oblężeniu. Skoro po obu stronach frontu służyli rodacy, nie tylko Polacy, ale też Żydzi czy Ukraińcy, to pojawiały się obawy, że mogą zdradzić. Jeden z dowódców austriackich wspominał, że gdy w 1916 r. rozpoczęła się ofensywa Brusilowa, jego pułk się rozsypał; każda nacja trzymała się osobno. Ten oficer zresztą wcale nie opłakiwał utraconej jedności. Wolał opowiadać o zdradzie Czechów i tchórzostwie Polaków. Armia Franciszka Józefa straciła wówczas ponad pół miliona szeregowych i oficerów.

Rodziły się demony.

Tak. Ale skrypty nienawiści etnicznej istniały już od dawna. Antysemityzm był językiem polityki w Wiedniu czy Petersburgu. W polskim wydaniu tworzony przez niezwykle nowoczesnego, bardzo inteligentnego i totalnie niemoralnego polityka Romana Dmowskiego. Fakt, że po wybuchu wojny wszędzie powstawały obozy dla uchodźców, Polaków czy Żydów, okazał się iskrą. Sytuacja przypominała dzisiejszą, kiedy po latach antyislamskiej propagandy u naszych granic pojawili się przybysze z Syrii czy Iraku. Z tym że w czasie pierwszej wojny atmosferze nienawiści towarzyszyły chaos i głód. Jeden przykład: przekonanie, że Żydzi są odpowiedzialni za spekulację, na długo przed 1914 r. podsycał Dmowski, który uruchomił akcję bojkotową, by przy użyciu tego narzędzia robić karierę polityczną. Po wybuchu wojny skończyło się bojkotowanie, rozpoczęło polowanie na spekulantów, czytając: Żydów.

Początek niepodległości nie tylko w Polsce, ale także w Litwie czy Czechosłowacji przebiegał pod znakiem triumfującej demokracji. Bardzo ważną rolę odegrały w nim kobiety. Dlaczego? Bo poszły do pracy? A może podłoże dla feministycznego buntu istniało już wcześniej?

Z tym masowym pójściem do pracy kobiet to trochę mit. W rzeczywistości ruch na rynku pracy na ziemiach

polskich był niewielki z powodu przesunięcia się frontu na wschód. Mężczyzn z zaboru rosyjskiego pobór zabrał tylko raz, na początku wojny. Pod tym względem najbardziej ucierpiała galicyjska wieś, gdzie przez cały czas trwania konfliktu Austriacy wcielali do armii kolejne roczniki rekrutów. Dlatego ważniejsza dla dynamiki protestu kobiet okazała się działalność przedwojennych feministek. Ówczesni Ziemkiewicz pisali o strasznych brytyjskich sufrażystkach, które są podkładającymi bomby terrorystkami. Niemiecka propaganda wojenna stworzyła karykaturę przedstawiającą zamknięte w klatkach feministki, które zrozpaczeni kłeskami Brytyjczycy wypuszczają jako swoją „wunderwaffe”. Ale warto też zwrócić uwagę nie tylko na polskie sufrażystki, także na kobiety o poglądach konserwatywnych, które stały się podporą wszelkiego rodzaju komitetów. W Polsce najważniejsze znaczenie odegrała Liga Kobiet PW, polityczne zaplecze Józefa Piłsudskiego, ruch kobiet jednocześnie feministyczny i nacjonalistyczny. Zasluga tego środowiska było uzyskanie przez kobiety w II RP praw politycznych.

Niedawno władze chciały wybudować wielki łuk triumfalny na Wiśle z okazji rocznicy zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 r. Tymczasem pan konflikt z nimi nazywa „wojną światową na pół gwizdka”. To nie była nawała, która zagrażała Europie, a my nie byliśmy przedmurzem, które ocaliło Zachód?

Nie. Ponieważ zagrożenie miało polegać na połączeniu się rewolucji rosyjskiej z niemiecką i węgierską. Problem w tym, że te ostatnie zostały już zduszone, gdy bolszewicy szli na Warszawę. Narrację o wielkim zagrożeniu ze strony Rosji Radzieckiej dyktował strach przed buntom robotników w krajach Europy, także w Polsce. To jego tak naprawdę się obawiano. Dlatego polska propaganda wymyśliła te hordy nadciągające ze Wschodu. Inna sprawa, że nasze postrzeganie wojny polsko-bolszewickiej i Bitwy Warszawskiej zaburza utożsamianie armii Michaiła Tuchaczewskiego z państwem stalinowskim i jego potęgą z 1944 r.. A to była inna armia o nieporównanie mniejszych możliwościach, jeśli porównać ją do wojsk krajów zachodnich – słabiotka. Wymyślone wówczas legendy są – jak Lenin – ciągle żywe.

Skoro jesteśmy przy legendach. Ustanowienie 11 listopada jako święta narodowego także było efektem manipulacji piłsudczyków?

Ustanowienie święta odzyskania niepodległości było efektem nadgorliwej interpretacji słów Naczelnika. W 1926 r. Piłsudski zwrócił się w piśmie do ministrów, by w tym dniu wyjątkowo zwolnić uczniów z lekcji, by mogli wziąć udział w obchodach. Przypominam, że 11 listopada nie był wówczas jeszcze świętem państwowym, został nim dopiero w 1937 r. Urzędnicy spełnili tę prośbę. A rok później żaden z nich nie znalazł w sobie odwagi, żeby powrócić do pracy tego dnia. Jedna prośba Marszałka stała się de facto prawem. Najważniejsze polskie święto państwowe narodziło się z urzędniczego oportunizmu i konformizmu. Przed wojną obchodzono je „ustawowo” jeszcze dwukrotnie, potem komuniści uczcili je w armii polskiej w 1943 r. i w 1944 r. w wyzwolonym Lublinie.

A następnie wiosną 1989 r. komunistyczny Sejm przywrócił to święto. Nie zakorzeniło się w polskiej obrzędowości w sposób oddolny, jako efekt społecznych kompromisów, lecz zostało narzucone przez jedną grupę polityczną. Podobnie jak z pomnikami, które ktoś stawia na placu, a później nikomu nie chce się ich burzyć.

ROZMAWIAŁ MARCIN ZAREMBA



Maciej Górny – dr hab., historyk idei, interesuje się Europą Środkowo-Wschodnią w XIX i XX w., pracuje w Zakładzie Historii Idei i Dziejów Inteligencji w XIX–XX wieku w Instytucie Historii PAN.